

Bliźniacy z Wenecji



Prasowe
Wydawnictwo
Dokumentacyjne
RSW „P-K-R”

Warszawa
Pl. Starynkiewicza 7
Tel. 28-59-59

SŁOWO LUDU

Kielce, ul. Obr. Stalingradu Nr 2

ABA

wydanie

Nr 7 z dn. 9 -01-80



W scenie zbiorowej sztuki pt. „Bliźniacy z Wenecji” — występują: Lech Sulimierski, Jacek Zbrożek, Krzysztof Jędrzyk, Jan Parandak i Zbigniew Pudziałowski.

Teatr

DLUGO przyszło nam czekać na kolejną premierę kieleckiego teatru, ale też podjął się on zadania bardzo trudnego i odpowiedzialnego, biorąc na warsztat klasykę światowej komedii — Carla Goldoniego. Ten nagły i niespodziewany zwrot od odległej przecież przeszłości (XVIII w.) może oznaczać zarazem szacunek dla wypróbowanego przez wieki tworzywa teatralnego. Ideałem dobrego zespołu twórców przedstawienia jest wzbogacenie zakurzonego dzieła doświadczeniami współczesności, najlepsza bowiem rekonstrukcja rzadko trafia do publiczności szukającej w teatrze wzruszeń niebanalnych.

Andrzej Dobrowolski jest reżyserem dobrze znanym kieleckiej i radomskiej publiczności jako twórcą rzetelny i wymagający. Dodatkowym walorem jego twórczości jest unikanie efekciarstwa, stronięcie od chwytów niegodnych artysty. Jeśli wspomnę tylko słynną w kraju „Przeziębłą” (spopularyzowaną przez telewizję), to dla wielu będzie to rekomendacja wystarczająca. Nowi przybysze poznają mistrza po robocie jego. „Bliźniacy z Wenecji” są jedną z niewielu sztuk, spośród dwustu napisanych przez byłego adwokata, które wytrzymały próbę czasu. Żyja — trzeba to uczciwie powiedzieć — dzięki grze aktorów i zabiegom inscenizatorskim. Cokolwiek by dobrego o Goldoniego powiedzieć, to zawsze będzie on nieboszczykiem, którego trzeba ożywić. Jak? — to jest szansa teatru. Duża szansa, bowiem ta właśnie komedia ujawnia bunt jej autora przeciwko zwyrodniałym formom komedii dell'arte. Ta — jak wiadomo — polegała na zbiorowej i improwizowanej

twórczości aktorów, pozwalających sobie czasami na nadużycia artystyczne. Miała za to niezaprzeczalny walor spontanicznej, prawdziwie ludowej zabawy. I chyba ta zasada nadała kształt kieleckiemu przedstawieniu.

Chodzi o zabawę, bowiem ten „mały” stateczny mieszczanin pełen zdrowego rozsądku” napisał komedię dla jednego aktora, którego wspomina w pamiętnikach, że „czasem był to człowiek światowy, niezmiernie w-

torów o bardzo różnym doświadczeniu zawodowym. A zadania — jak się rzekło — były trudne, i to zarówno w sensie technicznym (wejście w kostium, sposób poruszania się, gestykulacja i mimika, intermedia choreograficzne) jak i psychologicznym. Może nawet przede wszystkim psychologicznym, bowiem z najlepszych nawet akcesoriów i największej perfekcji technicznej teatru się nie zbuduje. Wszyscy aktorzy potraktowali swe zadania bardzo

nie Jerzy Smoliński jako nieszkodliwy szalbierz Pankracy. Role charakterystyczne znacznie szerzej ujawniają zdolności tego aktora. Lelio — Edward Kuszał — balansuje na granicy groteski, co jest zabawą ryzykowną, chociaż przez widownie akceptowaną. To jeszcze bardziej skłania do przyznania racji reżyserowi. Panie — Anna Skaros (Rozaura) i Regina Redlińska (Beatrice) dodają przedstawieniu niekłamanego wdzięku i lekkości zaprawionej liryzmem. To bardzo dobrze. Nie można mieć pretensji do pozostałych wykonawców, a Włodzimierza Twardowskiego i Zdzisława Nowickiego trzeba wyróżnić za wyrazistość kreacji.

NIEZAWODNYM partnerem reżysera okazał się jak zawsze na tej scenie, Józef Napiórkowski, którego kostiumy i oprawa scenograficzna zadziwiają lekkością przy całej wierności epoce. Umowna zabudowa sceny nie ma nic wspólnego z oszukańczymi chwytami operującymi, nie wiadomo w jakim celu, tzw. symbolami. Tu się widza niczym nie epatuje, wprowadza się go w krajobraz miasta (śliczna panorama w tle) i do wnętrza czystych estetycznie i jednorodnych, bez jakichkolwiek obcych wtętw. Muzyka Mirosława Niziuskiego (skomponowana czy opracowana?) jest w tym przedstawieniu po prostu niezbędna. Aż się prosiło o większy jej udział, o śpiewane kuplety, solowe popisy wokalne, czemu kieleccy aktorzy poddałoby na poziomie nie gorszym od popisów choreograficznych, jakkolwiek te rażą uproszczeniami i niedopracowaniem. Może kolejne przedstawienie wyrówna ten mankament. W sumie kieleccy „Bliźniacy z Wenecji” nie ośniewają, ale stwarzają nadzieję na odbudowę zaufania widza do tej sceny.

STANISŁAW MIJAS

Nadzieja dla widza

soły, żywy, dowcipny; czasem przybierał ton, wyraz i sposób mówienia głupca, prostaka, a zmiany te zachodziły w nim całkiem naturalnie i bez zamierzenia”. Po prapremierze aktor kreujący bliźniaków znalazł się u szczytu sławy, dyrektor teatru był bardzo kontent widząc swe przedsiębiorstwo w pełnym rozkwicie, zaś autor miał nielichą czastkę satysfakcji, zbierając pochwały i oklaski „o wiele większe niż na to zasługiwałem” — jak to samokrytycznie napisał. Nie będę w dużym błędzie, jeśli to samo powiem o kieleckiej premierze.

TRZEBA ją uznać za zbiorowy sukces zespołu składającego się obecnie z ak-

powaniem, a niektórzy nawet „za poważnie”. Jedynie Jacek Strama zdobył się na dystans wobec kreowanych bliźniaków. Zabrakło może ostrzejszego kontrastu między tym „głupawym” a tym inteligentnym, faktem jest niezaprzeczalnym, że na tym aktorze spoczywa główny ciężar odpowiedzialności za losy przedstawienia. Jacek Strama dźwiga ten ciężar — jak zawsze — godnie.

Wiele dobrej zabawy wnosi do spektaklu Jacek Zbrożek w roli adwokata Balanzoniego, prezentując aktorstwo ekspresywne, ale niehataśliwe. Powściągliwość, ale już z pewnymi tendencjami do karykatury ujaw-